

## **Polski bal kostiumowy [FELIETON]**

Doskonale wiemy, że ci wszyscy, którzy z takim samozaparciem przebierają zarówno siebie, jak i swych politycznych wrogów w historyczne kostiumy, czynią to śmiertelnie serio, bez cienia literackiej intencji parodystycznej, czy gombrowiczowskiej obsesji potrząśnięcia zaśnieżonym stereotypem polskości – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Przy okazji rocznicy 13 grudnia obie strony polskiego sporu po raz kolejny przypomniały, że każda z nich uważa siebie za prawowitą współczesną wersję „Solidarności”, zaś swych politycznych wrogów za aktualną mutację komunistycznej dyktatury. Okazuje się, że nawet wśród czołowych polityków są tacy (np. były premier), dla których sanitarna godzina policyjna zarządzona na noc sylwestrową jest niczym innym, jak bardziej brutalną powtórką grudniowych zarządzeń wojskowej junty sprzed 39 lat. No bo przecież rządząca prawica to najzupełniej oczywisty nawrót do reżimu stanu wojennego, skoro próbuje ona zaprowadzić dyktaturę (czy nawet totalitaryzm, jak twierdzą prominentni prawnicy), łamiąc przy tym siłą wolnościowy opór obywatelski. Ale liderzy lewicowo-liberalnej opozycji to także żywe ucieleśnienie komunistycznego politbiura sprzed czterech dekad, skoro dla zduszenia polskich dążeń patriotycznych gotowi są zebrać o obce wsparcie i wysługiwać się swym zagranicznym suzerenom. To prawda, że dla zdroworoządkowego umysłu jedno i drugie musi wyglądać na rodzaj inteligentnej kpiny, wymyślonej na użytek jakiejś groteskowo-bluźnierczej literatury na temat polskości, w rodzaju

gombrowiczowskiego „Transatlantyku”. Ale my przecież doskonale wiemy, że ci wszyscy, którzy z takim samozaparciem przebierają zarówno siebie, jak i swych politycznych wrogów w historyczne kostiumy, czynią to śmiertelnie serio, bez cienia literackiej intencji parodystycznej, czy gombrowiczowskiej obsesji potrząśnięcia zaśnieżonym stereotypem polskości.

Zastanawiam się, w jakim stopniu bierze się to z oczywistego faktu, iż doświadczenie zwycięskiego starcia „Solidarności” z „komuną” jest jedynym naprawdę doniosłym doświadczeniem historycznym, przeżytym przez współczesne pokolenia Polaków. No...przynajmniej przez to starsze pokolenie, które tworzy aktualną politykę. Pewnie zatem działa tu syndrom, który można by nazwać „symbolicznym dowartościowaniem”. Dość powszechnie bowiem czasy współczesne są uważane za „byle jakie”, przynajmniej gdy idzie o poczucie, że wszystko co naprawdę ważne zdarzyło się już w przeszłości, a teraz pozostaje tylko jakoś urządzić się w życiu, bo nic więcej przecież nie ma do zrobienia. Jeśli zatem ktoś stara się z przytupem zakomunikować, że jednak ma jakąś ważną sprawę publiczną do załatwienia, i ma też ochotę na serio bić się z jej wrogami, to najprościej dowartościować ową sprawę (a przy okazji także samego siebie), ogłaszając wszem i wobec, że my właśnie „stoimy tam gdzie stała Solidarność”, a nasz wróg „tam gdzie stało ZOMO”. Takie postawienie sprawy nie tylko ma dać nam na wejściu przewagę moralną, ale też psychologicznie ustawić wroga w pozycji wygodnej do bicia. W 2005 roku pisowscy spin-doktorzy wypraktykowali taki koncept wobec Platformy (która jeszcze nie była wtedy wrogiem PiS, ale potem musiała już nim zostać), z nie najgorszym dla swej partii skutkiem. Zdaje się, że to wtedy narodził się ów kostiumowy rytuał, któremu impetu dodała późniejsza walka z pisowską „dyktaturą”, czy nawet „totalitaryzmem”.

*Doświadczenie zwycięskiego starcia „Solidarności” z „komuną” jest jedynym naprawdę doniosłym doświadczeniem historycznym, przeżytym przez współczesne pokolenia Polaków.*

Niewykluczone, że ów syndrom „symbolicznego dowartościowania” wyjaśnia choć trochę znacznie szersze spektrum polskiej „solidarnościowo-komunistycznej” kostiumologii. Nieboszczyk KOD całą swoją publiczną

tożsamość próbował budować na kopiowaniu stylu działania podziemnej „Solidarności” lat 80. I choć aktywistami KOD-u było sporo ludzi inteligentnych, chyba nikt z nich nie zauważył, że nachalność tej historycznej stylizacji sprawia rosnące wrażenie farsy, odbierając przedsięwzięciu polityczną powagę. Obecna ruchawka feministyczna w swej fazie początkowej podążała podobnym tropem, jednak jej knajacki język co nieco popsuł potem ową stylizację. Ale za to po stronie prawicowej władzy nie ma wątpliwości, iż ideowym sensem tej ruchawki jest nawrót „komuny”. Na łamach „PlusaMinusa” uniwersytecki profesor, a zarazem minister nauki, przytomnie dopytywany przez dziennikarza – cóż mają wspólnego z komunizmem żądania aborcjonistek i gejów, z wielką pewnością siebie odpowiada, że: „to wszystko neomarksizm w czystej postaci”. Tę samą ideową kostiumologię uprawiają liczni katoliccy księża i biskupi, którzy nawykli do tego, że wszystko co przeciw Kościołowi musi być „komunistyczne”, albo co najmniej „marksistowskie”, grzmią jak w dawnych czasach na kazaniach na nieszczęsnego Karola Marksa, jako winnego całej aborcyjnej ruchawce. A językową karierę, tak w katedrze

wawelskiej, jak i w wiejskich kościółkach, robi mało dla kogo zrozumiały termin „neomarksizm”, perswazyjnie ważny, bo mający wywołać u słuchaczy skojarzenie z komunizmem. Choć jeśli kto tylko liznął filozofii, to wie dobrze, że gdyby na serio szukać myślowej genezy z gruntu elitarystycznego współczesnego libertyńskiego ateizmu, to prędzej jej się doszuka u oświeconego markiza de Sade, aniżeli u Marksa – apostoła ekonomicznej równości.

Jerzy Giedroyc zasłynął swego czasu bon motem, wedle którego Polską miałyby rządzić „trumny Piłsudskiego i Dmowskiego”. Ale Giedroyc, zwłaszcza u końca życia, słabo wczuwał się w realia polskiej polityki. Ta bowiem rządzona jest ciągle przez widma „Solidarności” i „komuny”. I nawet jeśli do pewnego stopnia owe widmowe rządy dają się wyjaśnić z pomocą syndromu „symbolicznego dowartościowania”, to i tak w żaden sposób nie pozbawia ich to swoiście groteskowej natury. Istotą groteski jest bowiem to, że ubiera ona prawdziwą rzeczywistość w kostium ułudy, która może być rodem z pure nonsensu, ale także z historycznego mitu. Dzięki kontrastowi, który w ten sposób powstaje literatura potrafi opowiadać o rzeczywistości mrocznej, strasznej, niemal niewyraźnej. Rzecz jednak w tym, iż jeśli aktorzy na scenie publicznej nakładają na siebie kostiumy rodem z jakiegoś mitu, to dla politycznej publiczności sami stają się bohaterami teatru groteski. Patrzymy więc na nich tak, jak byśmy na teatralnej scenie obserwowali Barona, Ciumkałę i Pyckala, związanych spółką „Koński Psi Interes”. Zamiast żywej polityki, gdzie chodzi przecież o kształt naszego najprawdziwszego życia, dostajemy przedstawienie, w którym toczy się dziwaczna batalia o sens dawnych mitów, albo niezrozumiałych słów. A tymczasem zwycięskie starcie „Solidarności” z „komuną” – to z jednej strony odległy już fakt polskiej historii, zaś z

drugiej – kluczowy narodowy mit, budujący polską wspólnotę. Ale na miły Bóg – nie groteskowe przebranie, które warto nałożyć wychodząc na scenę publiczną, niczym na jakiś bal kostiumowy.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

